POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE THREEPENCE (in U.S.A. and Canada 5c.)

Wychodzi co tydzień — *Dnia 17-go sierpnia 1946 r* — Rok VIII. Nr. 33

NASZA TROSKA O POWRÓT

Po zakończeniu wojny żołnierze wracają do domu. Po tej wojnie, tak długotrwałej, tak okrutnej, prowadzonej tak daleko od ziemi ojczystej, wszyscy zasłużyli na powrót do domu i do swoich zajęć pokojowych.

Polscy żołnierze zasłużyli na ten powrót więcej, aniżeli żołnierze jakiejkolwiek innej narodowości. Pierwsi bowiem zaczęli walczyć z Niemcami, nigdy im się nie poddali, a walkę w kraju i za granicą prowadzili do ostatniej chwili, ponosząc olbrzymie ofiary.

A jednak inni właśnie wracają, wracają pełni radości do swoich krajów, domów i rodzin. Zastają ojczyznę wolną, swoją własną, przez swoich wybrańców rządzoną. Polski żołnierz jedynie po długiej po świecie wędrówce nie może jeszcze wrócić do domu, gdyż Polska nie jest jeszcze wolna, a rządzą w niej obcy, przywiezieni przez armię rosyjską, wyuczeni w Moskwie, jak Polską rządzić, by wolę jej ludu całkiem spętać i uczynić ją powolną cudzym interesom.

Przez całe upływające 1 września siedem ciężkich lat walczył żołnierz polski z myślą o prawdziwym wyzwoleniu Polski i o powrocie do Niej, aby tam stanąć do nowej pracy i tworzyć nowe, coraz lepsze, coraz bardziej sprawiedliwe państwo demokratyczne.

Wbrew naszym pragnieniom, na przekór naszym uprawnionym żądaniom, wbrew uroczystym obietnicom i zapewnieniom — Polska nie jest wolna, ani niepodległa. Lud polski został pozbawiony prawa mówienia i pisania tego, co czuje i myśli. Nie wolno w Polsce tworzyć innych partii politycznych, jak tylko te, które ślepo słuchają rozkazów i zaleceń Moskwy.

Nawet grupa Mikołajczyka, który się zgodził — nie mając po temu żadnego prawa — na odebranie Polsce Wilna i Lwowa i wstąpił dobrowolnie do utworzonego w Moskwie „Komitetu Wyzwolenia Narodowego", umożliwiając przekształcenie go na „Rząd Tymczasowy" i uznanie przez inne państwa — nawet ta grupa, gdy wyświadczyła Rosji przysługę, jaka była jej potrzebna, jest dzisiaj prześladowana i tępiona.

Ci naiwni, którzy się łudzili, że powrót do Polski prawdziwych i uczciwych demokratów może zmienić potworności, jakie się w kraju dzieją, widzą już sami, że pod rządem słuchającym Moskwy komunistów, pod uciskiem policji „bezpieczeństwa", nie może w Polsce być żadnego ruchu, który by mógł dążyć do pokojowej zmiany obecnego „rządu" na — prawdziwy, ludowy, demokratyczny rząd polski.

Każda bowiem próba krytyki, opozycji, dążenia do naprawy i zmiany wywołuje prześladowania, sądy doraźne i ludowe, terror i morderstwa polityczne. Organizowanie i zasilanie „opozycji" w Polsce musiałoby prowadzić do nowej masakry ze strony Rosji i jej sług, do nowych straszliwych ofiar, na jakie Polska już nie może sobie pozwolić.

Ta olbrzymia większość żołnierzy Sił Zbrojnych, która nie chce obecnie wracać do Polski, wie dobrze, dlaczego tak postanowiła: skoro w kraju brak wolności, skoro tam, na naszej własnej ziemi, można albo się poddać nowemu okupantowi albo ginąć w nierównej walce, przeto trzeba na razie trwać w krajach obcych, jako ludzie wolni, bronić jak i gdzie można naszych praw do niepodległej i wolnej Polski i oczekiwać chwili, kiedy powrót okaże się możliwy.

Są żołnierze, którzy sądzili, że za granicą można walczyć o Polskę tylko z bronią w ręku i tylko w oddziałach Polskich Sił Zbrojnych, pozostających pod polskim dowództwem. Dzisiaj, kiedy dalsze utrzymanie Sił Zbrojnych okazało się niemożliwe, a działalność z bronią w ręku ustała wobec zakończenia wojny z pobitymi Niemcami — niektórzy mają wątpliwość, czy można Polsce służyć za granicą z chwilą rozwiązania naszej armii, a więc w cywilu.

Takie myśli tłumaczą się błędnym przekonaniem, jakoby prawa Polski do niepodległego i wolnego bytu mogły być bronione tylko siłą wojskową. Pamiętajmy, że znajdujemy się obecnie w kraju i wśród narodu, który nigdy nie wierzył, aby wojna była dobrym środkiem rozstrzygania sporów między narodami i który sam chwycił za broń tylko dlatego, że Niemcy a potem Japończycy na niego napadli. Narody brytyjski i amerykański nie chcą i nie mogą rozstrzygać swoich sporów z Rosją Sowiecką inaczej jak w drodze pokojowych układów i politycznych porozumień. Wierzą oni w siłę argumentu i prawa bardziej, aniżeli w siłę bomby atomowej. Zdają sobie sprawę z tego, że wszystkie narody, a narody Europy przede wszystkim, potrzebują odpoczynku, pragną pokoju, pracy twórczej, a przede wszystkim wolności w swoich krajach.

Anglicy i Amerykanie znają dobrze wartość pokojowej pracy, potęgę zorganizowanej opinii publicznej, siłę narodowej solidarności i narodowego uporu. Uczmy się od nich służenia własnej ojczyźnie środkami pokojowymi, gdyż wojna się skończyła.

Nie skończyła się walka polityczna o wolność i niepodległość Polski. Tej walki w samej Polsce prowadzić dziś nie można, jeżeli się nie chce narazić naszego kraju na nowe spustoszenie a naszej nieszczęsnej ludności na nowe krwawe straty i moralne udręki.

Gdyby wszyscy żołnierze, powrócili do Polski, póki tam władza jest w rękach rządu narzuconego przez obce państwo, póki tam panuje niewola i terror, słusznie by świat cały nabrał przekonania, że Polacy są zadowoleni ze swego obecnego losu i że zrzekli się prawa do wolności i niepodległości.

A wiemy, że tak nie jest. Wiemy, że zostajemy za granicą, pomimo bardzo trudnych warunków, aby nadal samą naszą obecnością i naszą postawą wołać o prawo Polski, o prawo wszystkich jej obywateli do otrzymania z powrotem ojczyzny całej i wolnej.

Co nas czeka na emigracji i jak służyć Polsce z dala od jej ziemi? Nikt nie może być prorokiem ani czynić tanich obietnic. W jednym z następnych numerów „Polski Walczącej" postaramy się jednak rozpatrzeć to ważne pytanie, które każdy z nas sobie stawia i na które szuka odpowiedzi.

WITOLD PILAWSKI

ATAK NA KRAKÓW

Od chwili ogłoszenia wyników referendum trwa w Polsce obok dawnego a ciągle wzmagającego się ataku na P.S.L. i przybierającego z każdym dniem na sile ataku na Kościół katolicki również atak na Kraków. Cała furia zbrodniczego reżimu, który dowiedział się z referendum — znając jego prawdziwe wyniki nie tylko z Krakowa, ale i z całej Polski — jak zjednoczony jest w nienawiści do niego cały naród, wyładowuje się na grodzie podwawelskim. Prasa reżimowa domaga się ukarania „chorego miasta", uchwala się wysiedlenie różnych kategorii mieszkańców, a pod firmą „garnizonu krakowskiego" komisarze polityczni wojska Żymierskiego ogłaszają obłąkane rezolucje, domagające się robót przymusowych dla ludności Krakowa.

Ale jest „metoda w tym szaleństwie". Cała akcja nie jest tylko przypadkowym wynikiem klęski reżimu w referendum. Wojna z Krakowem toczyła się od dłuższego czasu i nie można oprzeć się wrażeniu, że z góry już było postanowione użyć referendum jako pretekstu dla zadania miastu i jego mieszkańcom decydującego ciosu. Jakże inaczej wytłumaczyć, że wyniki głosowania w Krakowie zostały ogłoszone od razu, gdy gdzie indziej je przetrzymano przez szereg dni i że nie próbowano ich w Krakowie sfałszować, tak jak sfałszowano je gdzie indziej?

Dwa lata temu ci, którym służą dzisiejsi władcy Polski, zdecydowali, że Warszawa jako ośrodek polskiej myśli niepodległościowej, jako serce Polski i jej mózg, jest dla nich niebezpieczna i musi być zniszczona. Odmawiając pomocy walczącej stolicy, a później próbując przedłużyć paru zrzutami i obietnicami pomocy jej agonię, Rosjanie cel swój osiągnęli.

Dziś w oczach Moskwy i jej polskich agentów najbardziej niebezpieczny jest Kraków, największy dziś ośrodek niezależnej myśli polskiej. Jest niebezpieczny ze względu na swych profesorów, studentów, swój uniwersytet i swe duchowieństwo i nawet ze względu na swe pamiątki narodowe. Nie można go dziś zniszczyć tak, jak zniszczono Warszawę przed dwoma laty, więc próbuje się zniszczyć go moralnie, pozbawić najbardziej patriotycznych i najczynniejszych elementów, zdruzgotać jego wpływ na Polskę.

I dlatego, tak jak dwa lata temu, myśli masze, myśli wszystkich żołnierzy polskich na obczyźnie, biegły ku Warszawie pełne troski, wzruszenia a zarazem dumy, tak dziś biegną ku Krakowowi, będącemu pod ostrzałem tym razem nie dział, moździerzy czy samolotów niemieckich, lecz zatrutej, zbrodniczej i równie wrogiej propagandy.

KAZIMIERZ ALBAN

ISTOTA POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

Od tego czasu minęły dwa lata. W ciągu tych minionych lat poczęły wzbierać dwa nurty opinii o Powstaniu Warszawskim. Pierwszy nurt wzmacnia jeszcze wspaniałą legendę 63 bohaterskich dni stolicy Polski. Drugi, niegłośny, ale natrętny, nieośmielający się wychodzić na zewnątrz, ale snujący się szeptami, nie własny, ale podsuflowany przez obcą propagandę — wskazuje na zbyteczność powstania, na szkody, jakie wyrządziło.

Małoduszność, chwiejność, trwożliwość powtarza pytania: Czy powstanie było potrzebne, czy było tylko typowo polskim „romantyzmem"? Czy na czas wybuchło? Czy opłaciło się wydanie całej stolicy i ćwierci miliona ludzi na śmierć i wyniszczenie? Czy było ono przemyślaną mądrością, czy przeciwnie, politycznym nierozumem?

Lecz, po co o to pytać? Teraz? Gdy niczego już zmienić nie można, a w czasie ciągle jeszcze trwającej walki? Przecież Powstanie Warszawy nie było zjawiskiem oderwanym i osobnym. Było ogniwem pewnego ciągu zdarzeń, które się zaczęły dla Polski we wrześniu 1939 r. i jeszcze nie dobiegły swego kresu. Cały ten szmat czasu Polacy wypełnili jednym wyraźnym założeniem ideowym, a Powstanie Warszawy jest organiczną częścią tego założenia i zarazem najwyższym jego wzniesieniem. Kto by więc chciał poddawać krytyce dzień 1-go sierpnia 1944 roku, niech pamięta, że musi równocześnie poddać rewizji całe zachowanie się i postępowanie Polski w ciągu ubiegłych, wojennych lat.

Przyjdzie, zapewne, czas i na to. Historia nie cofa się przed najbardziej bezlitosnym działaniem. Będzie to jednak na pewno nie rewizja postępowania Kraju w czasie wojny, ale rewizja założeń, metod i realizacji polityki polskiej poza Krajem. Przyjdzie więc czas i na to, aby zbadać okoliczności wybuchu powstania i ustalić w czym i w kim leżała wina, że w celu zdobycia posłuchu dla gasnącej na rynkach międzynarodowych sprawy polskiej, aż taką cenę trzeba było zapłacić.

Zostawmy wszakże ten wielki proces historii. Wszczynanie go dziś, kiedy czas polski jeszcze się nie wypełnił, stanowi jedną więcej dywersję i jedno więcej narzędzie wprowadzenia w polskie umysły zamętu, przygnębienia — kapitulacji.

Zwłaszcza, że ci, którzy tę dywersję podnoszą, nie uderzają w wadliwą drogę polityki polskiej, ale biją w sam czyn postańczy, który nawet historia pozostawi poza wszelką dyskusją. Wyraża on bowiem sobą podstawową prawdę, najgłębszą zasadę, która utrzymywała i utrzymuje naród polski przy życiu.

Jaka to jest zasada?

Przed pewnym czasem przyszedł do mnie człowiek, którego — jak wielu obecnie — ostatnie miesiące wplątały w tragiczną rozterkę, i zaczął dowodzić: „Polacy muszą raz wreszcie zmądrzeć. Przez tysiąc lat żyli romantyzmem politycznym. Zawsze się dla kogoś i dla czegoś nadstawiali. Zawsze ginęli na jakiś „przedmurzach". Zawsze najbardziej wbrew własnym interesom mówili: „nie". Zawsze żyli jakimiś mrzonkami. Tymczasem inne narody, „realistyczniejsze" żyły, rozwijały się miały stulecia spokoju, a Polskę pustoszyły stałe najazdy i wycieńczały wojny. Trzeba raz z tym skończyć!"

Oczywiście, tylko jak? Za jaką cenę?

Ten człowiek, który to mówił i który, zapewne, jak papuga powtarza również krytyki Powstania Warszawskiego, nie rozumie podstaw i warunków bytu swego narodu. „Romantyzm" polski to nie jest dobrowolne zakochanie się w ranach, krwi, wojnie i umieraniu, to, niestety, pierwszy warunek polskiego życia, to tragiczna konieczność.

Kraj krajowi nie jest równy. Każdy kraj i każde państwo ma odrębne warunki i odrębne konieczności polityczne. Gdyby Polska w swych dziejach była stosowała „realistyczniejszą" politykę przystosowywania się do istniejących okoliczności, dawno nie było by ani Polski, ani Polaków. Gdyby kraj tak położony, jak Polska — na przeciągu wielkich przestrzeni, na terenie przejściowym ze wschodu na zachód, na pasie granicznym dwóch kultur i dwóch typów imperialistycznych — był stosował realistyczną politykę kapitulacji duchowej przed żądaniami silniejszych — a przechodziło ich tędy w różnych czasach wielu — już by dziś nie istniał.

Polskę przy życiu na przestrzeni dziejów utrzymywała wola trwania wbrew największym sprzysiężeniom materialnych sił, okupywana — to prawda — ciężkim żniwem śmierci na okopach obrony.

Można, oczywiście, postanowić, że to wszystko się nie kalkuluje i zdecydować się na „zmądrzenie". Ale w chwili takiej decyzji trzeba uświadomić sobie z całą wyrazistością, że pociągnie ona śmierć narodu i ostateczny upadek polskiego państwa.

Ta alternatywa, znana z naszej historii, nie zmieniła się również w dzisiejszym położeniu. Przez setki lat utrzymywał Polskę przy życiu polityczny „romantyzm", w dzisiejszej próbie również on tylko może przynieść ratunek, jeśli pod tym terminem rozumiemy walkę, gdy tego potrzeba, a zawsze odwoływanie się do słuszności i praw, które się Polsce należą, choćby chwilowo tych praw nikt nie chciał uznawać.

Warszawa legła w gruzy. Ćwierć miliona ludzi poszło na śmierć. Może okaże się w przyszłości, że — lepiej prowadząc politykę **tu**, w Londynie — można było tych klęsk **tam** uniknąć. Ale w sytuacji, jaka u końca niemieckiego panowania w Polsce narosła, Warszawa, jeśli miała pozostać w zgodzie z podstawowymi założeniami życia swego narodu, nie miała innego wyboru. Musiała zdobyć się na to poświęcenie.

Dla dwóch celów: aby wówczas, w roku 1944 przerwać milczenie, jakie wzbierało wokół sprawy polskiej, oraz aby swobodnie wyrażonym krwawym głosowaniem wyrazić wolę całej Polski.

Powstanie stwierdziło: z dwóch zarysowanych dróg politycznego działania, chętnie widzianej przez świat drogi giętkości i ustępliwości, oraz niepopularnej drogi twardego, upartego i niezłomnego podnoszenia praw Polski — ma być przyjęta droga druga.

Aby wywalczyć Polsce prawdziwą, niesfałszowaną, niewarunkową niepodległość. Walką bezpośrednią, kiedy trzeba, i walką cierpliwej nieuległości, kiedy tak rozum nakazuje. Ale zawsze walką, dopóki cel nie jest osiągnięty.

Taki jest sens najgłębszy Powstania Warszawy przeciw niewoli niemieckiej. Przeciw każdej niewoli.

JÓZEF KISIELEWSKI

NA ŚWIĘTO ŻOŁNIERZA

Tegoroczne Święto Żołnierza przypada na okres ciężki, najcięższy w życiu Polskich Sił Zbrojnych, stworzonych poza krajem: na chwilę, w której likwidacja tych Sił jest postanowiona, a nawet zaczęta. Ale ta okoliczność nie pomniejsza wagi naszego święta, raczej ją — powiększa.

Stawia nam ona przed oczy lata wojenne, w których święciliśmy wspólnie ten dzień. Daje odczuć siłę związków, narosłych przez minione lata. Uświadamia, że jesteśmy wielką jednością, zdolną przetrwać wszystko: klęskę, zawód oczekiwań, nawet uderzenie w zespalające nas więzi organizacyjne.

Właśnie w tym tkwi sens tego żołnierskiego święta na przyszłość. Nakazuje ono zachować tę jedność, którą wiązały ciężkie przejścia, trudy wojenne, tęsknota za krajem i wierność przysiędze. Uczy, że ta jedność jest teraz naszą jedyną siłą i możliwością dalszej walki o to, czego nie dane nam było wywalczyć potem i krwią.

Tegoroczne Święto Żołnierza nie jest jeszcze świętem radosnym, ale nie jest też świętem rozbitków bez drogi, bez woli, bez nadziei.

Nie wolno zgubić drogi do kraju, nie wolno zatracić woli walki, nie wolno nam dać zgasnąć nadziei, więcej: pewności, wyrażonej tymi kilku cudownie prostymi, cudownie prawdziwymi słowami, które nas łączyły, łączą i będą łączyć przez nadchodzące ciężkie lata: Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy.

I póki walczymy. I chcemy walczyć.

ALEKSANDER JANOWSKI

Przegląd tygodniowy

PIĘĆ LAT

Minęło w tym tygodniu 5 lat od owego pamiętnego dnia sierpniowego, gdy obwieszczono światu Kartę Atlantycką. Niewątpliwie jest to rocznica, którą niechętnie przypomina się na Zachodzie i dlatego nie można się dziwić, że minęła raczej bez echa. Każde jej przypomnienie musiałoby prowadzić do uświadomienia sobie, jak bardzo daleko odeszliśmy od ideałów zawartych w tym dokumencie. A co może jest najważniejsze: świat się raczej nadal jeszcze od nich oddala, niżby najmniejszy choćby krok czynił ku ich wprowadzeniu w życie.

Wprawdzie w przede dniu konferencji paryskiej prezydent Truman twierdził, że Karta Atlantycka powinna być wytyczną dla traktatów pokojowych, ale nie mógł chyba mieć żadnych złudzeń, że nie będą one miały z nią nic wspólnego. Wszystko co się dzieje dziś na świecie jest wręcz zaprzeczeniem Karty. Każdy artykuł jej został mniej lub bardziej brutalnie pogwałcony.

Miało się nie sięgać po zdobycze terytorialne, a Rosja zagarnęła olbrzymie terytoria i miliony ludzi. Każdy naród miał mieć swobodę wyboru rządu, a zamiast tego kukły sowieckie chronione przez bagnety Czerwonej Armii rządzą wielu narodami Europy. Narody miały żyć „wolne od strachu i niedostatku", a tymczasem żyją w strachu większym, niż kiedykolwiek, a często także w nędzy, nieraz sztucznie i celowo pogłębianej przez okupantów.

Nasuwa się pytanie, jak się to stało, że Zachód dopuścił do takiego podeptania haseł i ideałów, w których imię wojnę prowadził. Nie ma powodu wątpić w szczerość intencji Roosevelta i Churchilla, gdy pośrodku Oceanu podpisywali Kartę. Jeśli chodzi o ich kraje mieli podstawy sądzić, że zasady Karty będą przestrzegane. Ale jak sobie wyobrażali przestrzeganie ich przez Rosję, która od szeregu tygodni była już w chwili podpisywania Karty w wojnie z Niemcami? Czy mogli się łudzić, że Rosja dostosuje się do programu, tak bardzo odmiennego od wszystkiego, do czego sama dąży?

OD NIEDOCENIANIA DO PRZECENIANIA ROSJI

Prawdopodobnie wychodzili z założenia, że Rosja i tak zostanie przez Niemcy powalona i w decyzjach pokojowych nie będzie brała udziału. W momencie podpisywania Karty Atlantyckiej rzeczoznawcy Zachodu zgodnie byli zdania, że klęska Rosji jest nieunikniona.

Tym tłumaczy się zresztą wiele innych faktów, które inaczej byłyby niezrozumiałe. Na podstawie tego przekonania Stany Zjednoczone i W. Brytania śpiesząc Rosji z pomocą na podstawie *Lend-Lease*, niczego wzamian nie żądały, choćby właśnie przestrzegania zasad Karty Atlantyckiej. Uważały, że nie warto, a pomocy udzielały po prostu, by przedłużyć opór Rosji. Ówczesna polityka polska również opierała się na podobnym założeniu.

Nie było to niedocenianie sił Rosji. Wiemy dziś, jak Rosja była bliska klęski i rzeczoznawcy omylili się głównie dlatego, że nie mogli brać pod uwagę różnych elementów przypadkowych, które przyczyniły się do uratowania Sowietów.

Dziś zresztą nie ma mowy o niedocenianiu sił Rosji ze strony Zachodu. Raczej grozi — albo raczej groziło do niedawna — przecenianie tych sił.

Trzeba przyznać, że polityka sowiecka umiejętnie maskowała swą słabość. Przed paru dniami przypadła inna rocznica, a mianowicie minął rok od rzucenia pierwszej bomby atomowej na Japonię. W tym dniu układ sił w świecie uległ radykalnej zmianie na niekorzyść Sowietów. A jednak gdy się oglądamy wstecz na ten pierwszy rok ery atomowej i robimy bilans wydarzeń politycznych, to chwilami można by pomyśleć, że to nie Ameryka, lecz Rosja posiada tajemnicę bomby!

GRA, KTÓRA MUSI SIĘ SKOŃCZYĆ

Czemu zawdzięcza Rosja fakt, że pomimo swej słabości wciąż jeszcze osiąga tak wiele? O odpowiedź na to pytanie nie trudno. Rosja wygrywa na pokojowości społeczeństw zachodnich. Ale nie można na tym grać bez końca.

Wystarczy czytać prasę brytyjską, by stwierdzić, że olbrzymia cierpliwość społeczeństwa brytyjskiego, nie mówiąc o amerykańskim, jest na wyczerpaniu. Ostatni tydzień w Paryżu, coraz to bardziej cyniczne prowokacje Mołotowa i jego oczywista taktyka sabotowania pokoju przyczyniły się poważnie do uświadomienia Zachodowi, że prozumienie nie jest możliwe. Jakże charakterystyczny jest głos zawsze spokojnego i pełnego umiaru „*Sunday Times*", który pisze:

„Mówiąc szczerze, Rosja żeruje na nienawiści świata do wojny i wynikającej stąd skłonności do płacenia każdej ceny za pokój. To samo czynił Hitler przez sześć bezwzględnych lat, ale w końcu rzucił świat przeciw sobie".

Cała prasa brytyjska przemawia podobnym tonem.

Nie jest zresztą całkiem jasne, jakie cele przyświecały Mołotowowi w jego ostatnich wystąpieniach w Paryżu. Taktyka sowiecka nosi wszelkie cechy obstrukcji. Nie jest wykluczone, że istotnie Rosjanie dążą do storpedowania konferencji, wychodząc z założenia, że w interesie ich leży niedopuszczenie do jakiejkolwiek stabilizacji i utrzymanie Europy w stanie chaosu i niepewności; ale w takim razie dlaczego w ogóle zgodzili się na zwołanie konferencji?

DOŚWIADCZENIE AUSTRIACKIE

Tak czy inaczej, nie tylko w Paryżu można zaobserwować, że Rosjanie nie dbają już nawet o pozory współpracy i lekceważą sobie, co świat powie na ich posunięcia. Wszędzie polityka sowiecka świadomie zaostrza konflikty i rozbieżności.

Jednym z przykładów jest Austria, gdzie wyraźnie już rysuje się możliwość trwałego podziału kraju na wolną strefę zachodnią i całkowicie zsowietyzowaną strefę rosyjską. Do niedawna Austriacy wierzyli w obiecaną im w deklaracji moskiewskiej niepodległość, ale teraz, gdy nawet Bevin publicznie stwierdził, że trzeba się liczyć z trwałym odseparowaniem wschodniej części, są w najwyższym stopniu zaniepokojeni.

Trzeba zresztą przyznać, że Austriacy zachowują się bardzo dzielnie. Rzucili oni wyzwanie Sowietom, uchwałą upaństwowienia szeregu przedsiębiorstw, które Rosjanie bezprawnie uznali za swoje, uważając, że co Niemcy zrabowali, to jest rosyjskie. Będzie rzeczą bardzo ciekawą, jak się dalej ta sprawa rozwinie, gdyż Rosjanie nie zawahają się aresztować urzędników austriackich, którzyby próbowali objąć upaństwowione zakłady. Austriacy mogą liczyć na poparcie Brytyjczyków i Amerykanów. Brytyjczycy słusznie uważają, że choćby Rosjanie rzeczywiście mieli prawo do tych przedsiębiorstw, to i tak Austriacy są uprawnieni do ich upaństwowienia, tak samo jak mogą upaństwowić zakłady należące do kapitału brytyjskiego czy francuskiego.

Jesteśmy tu świadkami osobliwego widowiska: oto państwo, które nazywa samo siebie socjalistycznym, zabrania upaństwowienia fabryk czyl realizacji programu socjalistycznego! Chce ono posiadać prawo kolonialnej eksploatacji Austrii...

Nowy to dowód, że właśnie Rosja jest najbardziej reakcyjnym społecznie krajem, tak jak politycznie jest najbardziej faszystowskim.

„NAJWAŻNIEJSZA RZECZ: NIENAWIŚĆ"

Faszystowskie oblicze komunizmu znalazło tymczasem nowy wyraz we Francji, gdzie partia komunistyczna podjęła próbę narzucenia swej woli najwyższemu trybunałowi sprawiedliwości. W tym samym dniu, w którym w innej sali Paryża Mołotow próbował dyktatu w dziedzinie międzynarodowej, komuniści francuscy usiłowali dyktować większości parlamentarnej wolę mniejszości.

Nie zawahali się zorganizować „strajku" wyznaczonych przez partię członków Najwyższego Trybunału, aby osiągnąć w ten sposób zmianę jego statutu, dzięki której wyroki stałyby się czysto polityczne i nic z bezstronnym wymiarem sprawiedliwości nie miałyby wspólnego. Myśleli, że przez zdekompletowanie Trybunału uniemożliwią jego obrady, a w szczególności proces admirałów oskarżonych o zatopienie floty w Tulonie w 1942 r.

Ale to im się nie udało. Jedynym rezultatem było dalsze pogłębienie przepaści, dzielącej ich od innych stronnictw, zwłaszcza, że w toku debaty w Zgromadzeniu Narodowym proklamowali oni osobliwą zasadę, że nikt nie powinien zasiadać w tym Trybunale, jeżeli „serca jego nie przepełnia nienawiść"!

WSPÓŁPRACA NIEMOŻLIWA

Tak, jak taktyka Mołotowa wywołała obrzydzenie wśród dyplomatów, tak taktyka komunistów oburzyła większość Francuzów, mających inne pojęcie o sprawiedliwości. W ogóle wydaje się, że koalicja trzech stronnictw we Francji coraz bardziej trzeszczy. Musi przyjść chwila, gdy współpraca z komunistami okaże się ostatecznie niemożliwa.

Faktem jest, że z każdym dniem rozdział pomiędzy obu światami pogłębia się. Świadczy o tym zarówno konferencja w Paryżu, jak wypadki w Niemczech oraz w Austrii i bezpłodne dyskusje w komisji atomowej, nie mówiąc już o tym co się dzieje w Europie sowieckiej, gdzie wpływy zachodnie są systematycznie likwidowane. I w parze z tym idzie pogłębianie się konfliktu wewnętrznego wszędzie tam, gdzie istnieją wpływy komunistyczne.

Znamienne są pod tym względem Chiny, gdzie już i ambasador amerykański gen. Marshall, który niestrudzenie walczył o pacyfikację wewnętrzną, musiał stwierdzić, że „pokój w Chinach jest niemożliwy". Jeden z przywódców chińskich trafnie zaś ujął sytuację, mówiąc, że „komunizm jest wyrostkiem robaczkowym, który musi być wycięty".

Te słowa stosują się z pewnością nie tylko do Chin.

Londyn, 11 sierpnia 1946

ALEKSANDER BORAY

W oczach obcych

Nieraz można było w ciągu ostatnich lat stwierdzić, że linia podziału w społeczeństwach zachodnich, jeśli chodzi o ich stosunek do Polski (a tak samo do Rosji), przebiega nie wedle rozgraniczeń partyjnych, lecz poprzez partie. W W. Brytanii mieliśmy przyjaciół i na prawicy i na lewicy, a zwolennicy polityki *appeasement*'u również znajdowali się i wśród konserwatystów i w *Labour Party*. Podobnie w w Ameryce linia podziału idzie poprzez partię demokratyczną i republikańską. Obecnie możemy coś podobnego stwierdzić również we Francji, gdzie nawet wśród katolików zarysowały się dwie orientacje.

Niektóre pisma katolickie we Francji dały się wprowadzić w błąd propagandzie komunistycznej, która usiłuje wmawiać, że w Polsce istnieje wolność religijna i że Kościół ma pełną swobodę działania. M.in. dał się nabrać „*Figaro*", którego jednym z redaktorów jest znany pisarz katolicki Mauriac.

Ostatnio „*Figaro*" ogłosił artykuł p. Brissona, nie tylko podnoszący swobody kościoła w Polsce i ganiący biskupów za moralne popieranie „bandytyzmu", ale jeszcze głoszący:

„Włączenie Polski do politycznego systemu Sowietów nie jest ani okupacją, ani protektoratem, ani stosunkiem wasalnym, lecz trwałym sojuszem i ścisłą współpracą... Katolicyzm w Polsce ma przed sobą wspaniałe zadanie i olbrzymią przyszłość: jest nią pogodzenie zachodniego chrześcijaństwa z najbardziej zuchwałymi formami demokracji społecznej".

Komunistyczna dyktatura o charakterze totalnym, to „zuchwała forma demokracji"! Raczej zuchwałe są te kpiny ze zdrowego rozsądku.

Na wywody te odpowiedział w sposób mocny i cięty znakomity pisarz katolicki Bernanos, który na łamach „*La Bataille*" pisze:

„Muszę się rumienić, gdy pomyślę, że koszty tego błaznowania musi płacić Polska. Nie posiadając tak wspaniałych zasług wojennych, jak pp. Mauriac (który podczas całej okupacji spokojnie pisał powieści — przyp. nasz) i Brisson, czuję się zawsze upokorzony wobec kraju, który w sposób podły pozwoliliśmy zmiażdżyć w roku 1939 i którego niezmierzonym ofiarom przeciwstawiamy śmieszne przechwałki, tak jak byśmy nigdy nie słyszeli o Petainie lub o kolaboracji. Czy nie moglibyśmy teraz zrezygnować z dawania nauk politycznych episkopatowi polskiemu?"

W przeciwieństwie do Francji, obóz katolicki w W. Brytanii, mniej co prawda liczny i wpływowy, był i jest jednolity, jeśli chodzi o stosunek do Polski. Byłoby dobrze gdyby publicyści z „*Figaro*" zaznajomili się z reportażem o Polsce w „*Catholic Herald*" pióra p. Rosme Curtis. Dowiedzieliby się, jak w Polsce Kościół pojmuje swe zadanie.

Stwierdziwszy, że w ostatnich tygodniach, po referendum, Rosjanie zdecydowali się na represje przeciw Kościołowi, pani Curtis pisze:

„Walka polityczna rozgorzała i teraz powstaje pytanie, jak długo Polacy wytrzymają. Odpowiedź nie jest łatwa. Żywotność społeczeństwa jest ogromna. Jego pogoda ducha w tej ponurej sytuacji jest powszechna. Ale w tej żywotności kryje się niebezpieczeństwo. Wielu młodych zapaleńców mówiło mi, że wolą zginąć walcząc, niż żyć w obecnych warunkach. Jest to stanowisko, które Polacy często zajmowali w ciągu wieków swej historii.

Z drugiej strony każdy zrównoważony człowiek zdaje sobie sprawę, że rozruchów i powstań należy uniknąć za wszelką cenę, gdyż skończyłyby się wyniszczeniem najbardziej wartościowego elementu w Polsce — młodzieży.

I tu dochodzimy do przełomowego momentu psychologicznego, który musi nastąpić. Z jednej strony jest pozostałość sześciu lat okupacji niemieckiej. Z drugiej — dzisiejszy system terroru. Obecny ustrój ma wszelkie pozory stałości. Zarazem pozostaje faktem, że Polska jest najsilniejszym dziś w Europie krajem z punktu widzenia katolickiego, stanowiąc tamę przed zalewem Sowietów. Jeśli tama ta zostanie przerwana, cała Europa na tym ucierpi.

Pewien stary profesor powiedział mi: „Czy świat zdaje sobie sprawę, że my tutaj twardo stoimy nie tylko w obronie Polski, ale w obronie właśnie tego świata?"

I nie jest to twierdzenie przesadne. Jest to prawda, którą muszą zrozumieć nie tylko katolicy, ale wszyscy ludzie na świecie".

Oby nie zrozumieli tego za późno!

LECTOR

Polska pod okupacją: metody walki reżimu

„ELEMENTY SZKODLIWE"

Reżim warszawski tępi nie tylko organizacje, które ośmielają się mieć inne zdanie w sprawach politycznych, niż komuniści, ale także ma zamiar usuwać i niszczyć całe ośrodki ludności, gdzie objawiają się nastawienia przeciwne „blokowi demokratycznemu". Sowieckie wzory deportacji, przesiedlania i „wolnego wygnania" oraz odpowiedzialności zbiorowej nie pozostały bez echa.

Różni przywódcy reżimowi podsuwają w tych względzie pomysły, które zrodzić się mogły tylko w głowach owianych ideami barbarzyńskiego Wschodu.

Na wspólnym zebraniu PPR i PPS w Warszawie, omawiając wyniki referendum, Cyrankiewicz zaatakował „elementy szkodliwe", które głosowały wbrew zaleceniom „bloku". Według słownictwa użytego przez Cyrankiewicza, do tych elementów zostali zaliczeni: „kołtuneria, wstecznictwo, spekulanci, paskarze, obszarnicy, fabrykanci, endecy — mobilizowani przez wodzów polskiej kołtunerii, biskupów i obszarników". Główną siedzibą tych „elementów" jest — Kraków, który w 70% głosował przeciw reżimowi. Za to — zdaniem Cyrankiewicza — spotkać winna go kara wysiedleń.

„Słusznie klasa robotnicza Krakowa żąda — mówił Cyrankiwiecz, według „Robotnika" — *usunięcia tego elementu z miasta. Elementu, którego zachowanie stało się prowokacją i wyzwaniem rzuconym w twarz polskiej Demokracji. To środowisko trzech „nie", to jest, nie ukrywajmy tego, środowisko trzeciej wojny światowej..."*

Równocześnie na łamach komunistycznego „Głosu Ludu", organu PPR, występuje się za wysiedlaniem w ogóle z miast ludzi, których władze administracyjne uznają za niepotrzebnych w danym mieście.

„Radykalne rozwiązanie kwestii mieszkaniowej winno odbyć się — pisze „Głos Ludu" — *w płaszczyźnie wysiedlania z centralnych miast i z miast Wybrzeża, elementów spekulacyjnych, nieprodukcyjnych, z jednoczesnym przesiedlaniem robotników i pracowników do mieszkań przez nich dotąd zajmowanych... W państwie ludowym mieszkania wielkich miast muszą się stać własnością świata pracy. Nasi przedstawiciele w Radach Narodowych winni podnieść tę sprawę z całym naciskiem i z całą stanowczością. I w tej dziedzinie postulaty nasze będą zrealizowane w czasie najbliższym".*

Wiemy co w żargonie reżimu oznaczają słowa „elementy szkodliwe". Te nowe zarządzenia wysiedleńcze, to nowa broń w rękach reżimu w walce z nie-komunistami. Jeszcze niech zostaną wprowadzone przepustki na wyjazd z jednej miejscowości do drugiej, a i w tej dziedzinie sowiecki „raj na ziemi" będzie urzeczywistniony w Polsce.

„KRAKOWSCY POLACY"

Propaganda reżimowa jest bardzo czynna w montowaniu „gniewu ludu" przeciwko Krakowowi. Prasa komunistyczna lub pod wpływami komunistów pełna jest artykułów, deklaracji, manifestów, „potępiających" reakcyjny, faszystowski Kraków. W terenie organizuje się ustawicznie zebrania protestacyjne, masówki i inne tym podobne demonstracje, wyrażające „oburzenie demokracji" na „chore miasto". „Prop-agit" PPR-u działa niezmożenie. Tą propagandą i agitacją objęte zostało także wojsko, które w dzisiejszej Polsce jest narzędziem reżimu.

Oto przykład jednej z licznych demonstracji, zorganizowanych w wojsku.

„Żołnierze 46 Kołobrzeskiego Pułku Piechoty w Krakowie — pisze „Głos Ludu" — *odmówili przyjęcia sztandaru, który otrzymać mieli z rąk społeczeństwa krakowskiego. Decyzję swoją żołnierze uzasadnili tym, że część społeczeństwa krakowskiego z h a ń b i ł a s i ę — odpowiadając „nie" na trzecie pytanie.*

„W związku z tym zwołano na dziedzińcu koszarowym zebranie żołnierzy, na które przybyli przedstawiciele demokratycznych partyj politycznych i związków zawodowych. W przemówieniach swych prosili oni żołnierzy, aby przyjęli sztandar pułkowy od tej części społeczeństwa, która wykazała zrozumienie dla podstawowych zagadnień bytu państwowego, a więc robotników, chłopów i inteligencji pracującej, skupionych w obozie demokratycznym.

„W odpowiedzi przedstawiciele żołnierzy wyrazili zgodę na przyjęcie sztandaru z rąk tych, którzy odgrodzili się stanowczo od „k r a k o w s k i c h P o l a k ó w".

„Politrucy" (oficerowie polityczno-wychowawczy) dostali zapewne pochwałę od „marszałka" za tak misternie wyreżyserowane „oburzenie" żołnierzy na „krakowskich Polaków".

„CHWYTY" PROPAGANDOWE RZĄDU WARSZAWSKIEGO

Po krótkim okresie neutralności, który był wygodny rządowi tymczasowemu, obecnie rozpoczął się atak na Kościół, na razie jeszcze tylko propagandowy. W walce tej komuniści i ich poplecznicy chwytają się różnych sposobów. Jednym z nich była wiadomość radiowa, że Ojciec Święty wystąpił w obronie kata Wielkopolski Greisera, skazanego za jego zbrodnie na śmierć, prosząc o jego ułaskawienie. Cała prasa reżimowa podała tę wiadomość sugerując, że Papież uczynił to z własnej inicjatywy.

„*Żaden Polak* — pisze „Rzeczpospolita" — *w swym sumieniu nie znajdzie cienia usprawiedliwienia dla zbrodniarza, który z zimnym wyrachowaniem gnębił i niszczył setki tysięcy istnień ludzkich.*

„Tym większe zdumienie budzić musi nieoczekiwane wstawiennictwo Watykanu. Sprawiedliwości stanie się jednak zadość. W Poznaniu odbędzie się publiczne wykonanie wyroku na Arturze Greiserze..."

Jak w rzeczywistości wyglądała ta „spontaniczność" Ojca św.? „*Osservatore Romano*", cytowane przez radio watykańskie, podało, że z prośbą o interwencję Papieża zwrócił się Greiser, a prośbę tę przekazał — „ambasador" rządu warszawskiego przy Kwirynale prof. Stanisław Kot. Na to Nuncjusz Apostolski odpisał do prof. Kota:

„Herr Artur Greiser, skazany na śmierć, zwrócił się do Jego Świętobliwości z błaganiem o wyjednanie mu przebaczenia. Wymieniony pan, jak jest wiadomo, był najbardziej zaciekłym wrogiem Kościoła, który prześladował bezwzględnie w Warthegau. Niemniej jednak, Jego Świętobliwość, idąc za przykładem Boskiego Nauczyciela, który modlił się za tych, którzy Go ukrzyżowali, uwzględnił tę prośbę człowieka skazanego i zwraca się do władz kompetentnych, by darowały mu życie".

Tak wyglądała prawda. „Ambasador" rządu warszawskiego podsunął prośbę Greisera. Papież przychylił się do niej, zgodnie z nakazami moralności chrześcijańskiej, ale równocześnie podkreślając, iż wie kim był petent. Kiedy odpowiedź nadeszła, wtedy prasa warszawska uderzyła w Papieża, przemilczając istotne okoliczności. Doprawdy, nie wiadomo, co jest bardziej zdumiewające, czy perfidia propagandy komunistycznej, czy przebiegłość „ambasadora" Kota, wysługującego się reżimowi.

„OPIEKUN ANDERSOWCÓW"

Prasa reżimowa unika atakowania Kościoła Katolickiego na płaszczyźnie ideowej. Nie mówi się o krańcowej różnicy, jaka istnieje między nauką Kościoła a ideologią komunizmu. To byłoby zbyt ryzykowne dla reżimu wobec społeczeństwa polskiego, które jest społeczeństwem katolików. Dlatego w tej chwili napada się na hierarchię kościelną. Obok ataków na Ojca św. i prymasa Hlonda oraz poszczególnych biskupów i księży w Polsce, prasa napada także na duchownych katolickich w innych krajach. Ostatnio przedmiotem niewybrednych napaści stał się arcybiskup Westminsteru, kardynał Griffin, który — podobnie jak jego poprzednik kardynał Hinsley — jest serdecznym przyjacielem Polski i Polaków.

„Kardynał Griffin — pisze komunistyczny „Głos Ludu" — *jest czołowym opiekunem andersowców w Anglii, organizuje on zbiórki i akcje polityczne na rzecz armii Andersa. Armia Andersa organizuje bandytyzm w Polsce. Jeśli w Polsce z rąk andersowskich bandytów giną co dzień ludzie, to krew tych ofiar niewidzialną plamą przylega i do wypielęgnowanych rąk kardynalskich, rąk opiekuna andersowskich bandytów — kardynała Griffina..."*

Prasa reżimu w Polsce w swej zajadłości dochodzi do tak absurdalnych oskarżeń.

Każda metoda, każdy argument, niemal każdy wymysł czy fałsz jest dobry dla propagandy komunistów w walce o ich cele.

TADEUSZ NALER

Poradnik zawodowy

Dr. M. D. Paryż.

Polski Wydział Prawa przy Uniwersytecie w Oxford rozpoczął nowy rok akademicki w maju i kończy go w październiku b.r. Nie wiadomo jeszcze, czy od października Wydział będzie otwarty. Jest jeszcze możliwość wpisania się, o ile nadrobi się dotychczas przerobiony materiał. Adres: Polish Faculty of Law, Oxford, Great Britain. Przyznanie stypendium załatwia: Interim Treasury Committee, Education Department, Thorney Court, Palace Gate, London, S.W.8.

Por. Z.K.

Jedyny kurs cukierniczy odbywa się w Londynie i kończy się 25 sierpnia b.r. Otwarcie nowego kursu zależeć będzie od możliwości nabywania materiałów. Zgłoszenie na nowy kurs należy kierować do Oficera Szkolenia Zawodowego Pol. Biura Wojsk. Londyn, S.W.1, 8, Ashley Gardens. Na pobyt w Londynie ponad 2 miesiące musi być zgoda *Home Office*. Kurs trwa 6 miesięcy.

Plut. W.T.

Szkolenie zawodowe i przed-zawodowe obejmie wszystkich żołnierzy Korpusu Przysposobienia Zawodowego, którzy nie posiadają zawodu. Również będzie zorganizowana nauka języka angielskiego oraz wiedzy o W. Brytanii, szczególnie dla żołnierzy z Włoch.

„Cichociemni“

„Niech bratnia w szeregu dłoń się zaciśnie i jedno w nas serce uderzy“ (zawołanie „cichociemnych“)

W połowie ub. miesiąca odbył się w Londynie osobliwy zjazd-zlot „cichociemnych“. Dziwna nazwa, dziwni ludzie.

Było nas sporo. Cyfry dokładnej dziś jeszcze wyjawić nie wolno, bo poza 50-oma, którzy zginęli w walce, lub na skutek akcji w katowniach i więzieniach Gestapo, i dosyć pokaźną grupą ok. 80-iu, którym udało się przedostać raz jeszcze na Zachód, pewna ilość naszych kolegów żyje w ciągłym niebezpieczeństwie w obecnej, sowieckiej Polsce.

„Cichociemni“ to po prostu skoczkowie spadochronowi, żołnierze b. Armii Kraj. Nazwa ta zrodziła się, jak tyle innych określeń wojskowych powstała ni stąd ni z owąd, gdzieś pod mokrą płachtą jednego z polskich namiotów żołnierskich na ziemi szkockiej w roku pańskim 1941. Podobnie narodziło się ongiś sławne określenie „leśne dziadki“, podobnie na Bliskim Wschodzie nazywano się wzajemnie „Ramzesami“, „Lordami“ i „Buzułukami“, zanim całe wojsko zespoliło się w jedną rodzinę: II Korpus gen. Andersa. W ten także sposób pojawiają się przeważnie piosenki żołnierskie, których niestety ostatnia ponura wojna tak niewiele zrodziła.

Otóż nagle w lecie 1940 roku znikać zaczęli z oddziałów w Szkocji „po cichu“ w niejasnych jakichś, a więc „ciemnych“ okolicznościach co największe zabijaki, niespokojne duchy i w ogóle, co tu dużo opowiadać, t.zw. „pistolety“.

Rozmaicie komentowali to nasi koledzy i przyjaciele; no cóż nareszcie w nudzie szkockiej jakieś nowe zadatki na sensację. Ciekawość ludzka jest wielką pasją. A tu tymczasem: pst, ci-i-cho o tym mówić nie należy — o tym sza, gadać nie wolno. No i oczywiście to wystarczyło zupełnie: polskie wojsko to inteligentny naród. Teraz to wiadomo, tak trzeba było z nami od razu, jak „sza“ to „sza“ — naprawdę, bez nawalanki, panowie koledzy wojskowi, aby tym naszym „cichociemnym“ nie zaszkodzić, aby im lepszego bałaganu nie narobić. Bo przecież wiadomo chłopaki do Polski na ochotnika do podziemnego wojska hulają, a wywiad niemiecki czuwa, to nie przelewki. Więc szczęść im Boże tym naszym „cichociemnym“ i niech ich cicha, ciemna noc prowadzi bezpiecznie na nowe m.p. — Polska okupowana przez Niemców.

Historia „cichociemnych“ to część epopei rycerskiej, której na imię walka Polaków o Wolność w latach 1939–45. Byliśmy tej walki jednym i choć nie największym, przecież barwnym i charakterystycznym wycinkiem. Pragnęliśmy stać się i w takiej mierze w jakiej nam to było dane staliśmy się dobrowolnym ogniwem, łączącym tych szczęśliwców, którzy otwarcie z bronią w ręku stanowili nasze siły zbrojne na Zachodzie z największym ruchem oporu przeciw-niemieckiego: z Polską Podziemną.

Polska służba spadochronowa dla współpracy z Krajem powołana została do życia rozkazem Wodza Naczelnego śp. gen. Władysława Sikorskiego. Zaciąg był ochotniczy, podobnie jak z istoty rzeczą ochotniczą jedynie musiała być służba w Armii Krajowej. Dawało to nam z miejsca poczucie całkowitej wspólnoty z tą masą mężczyzn i kobiet, która nie potrzebowała aż skoku spadochronowego po sześcio-godzinnym locie do Polski, by znaleźć się w ramach organizacji podziemnej.

Przy całej różnorodności typów ludzkich w naszym „cichociemnym“ zespole były przecież pewne zasadnicze cechy wspólne nam wszystkim. Tak były mocne i wyraźne, że po dziś dzień ci z nas, którzy wyszedłszy cało z akcji żyją w świecie wolnym — stanowią jedną zgraną, jak to wykazał ostatni zjazd, ideowo zwartą, jednolitą rodzinę.

Każdy z nas miał swoją przygodę, ale to raczej we wspólnocie naszej decyzji i naszych przeżyć, kryje się znacznie więcej, niż jakaś fascynująca awantura, niż tylko barwna przygoda wojenna. To że skakał do Polski zarówno 18-letni uczeń, jak i doktor filozofii z Wilna, 50-cio letni dyrektor banku, zarówno chłop z gór Świętokrzyskich, jak prawnik ze Lwowa — to nie jest prosty zbieg okoliczności, zwłaszcza, że nikt ich do tego nie namawiał. Pchali się sami, chociaż — och, wiemy jak to nieprzyjemne — wszyscy jednakowo „pietraliśmy“ przed skokiem „w dziurę“, kiedy pan „wykidajło“ żegnał nas krótkim, męskim „*go*“.

Łączyła nas więc nie tylko żądza emocji, jakimi nikt dotąd w naszej walce o wolność nie miał okazji się wykazać. Łączyło nas szczególnie silne umiłowanie Wolności ponad wszystkie rzeczy doczesne, mocniejsza wówczas, niż wszystko inne, wola twardej pracy i walki dla tej Wolności na ziemi polskiej u boku tych, z którymi łączyło nas najwięcej, u boku braci naszych i sióstr w Kraju.

A były to przecież czasy, kiedy zdawało się nam wszystkim, że tam właśnie na ziemi naszej rozstrzygnie się nasza walka o Wolność. Wódz Naczelny gen. Sikorski na odprawach naszych zaznaczał, że Polska Podziemna to ważny odcinek walki całego obozu Narodów Zjednoczonych. A rządy alianckie, B.B.C. i inne rozgłośnie niejednokrotnie wzywały do wzmożonego wysiłku konspiracyjnego i przygotowania się społeczeństw krajów okupowanych do ostatecznej krwawej rozgrywki z Niemcami.

Tak więc w naszym rozumieniu byliśmy przekonani, że idziemy na front najprawdziwszy, centralnie planowany przez naczelne dowództwo alianckie, stanowiący ważną, istotną część całego terenu rozprawy z Trzecią Rzeszą. Nie była to zarazem jakaś zawadiacka decyzja grupy szaleńców, ale po prostu wybór nowego, pasjonującego przydziału bojowego.

W służbie krajowej daliśmy wkład tak duży, na jaki nas tylko stać było. Pełniliśmy funkcje kurierów, emisariuszy, instruktorów, dowódców grup i oddziałów dywersyjnych, szefów sztabu grup operacyjnych, oficerów wywiadu ofensywnego, kierowników tajnych stacyj radiowych, komendantów drużyn likwidacyjnych, dowódców jednostek A.K., zarówno w trudnym okresie szkolenia, jak i przede wszystkim w czasie akcji „Burza“ i zwłaszcza w powstaniu warszawskim.

„Skoczkowie Spadochronowi odegrali wybitną rolę w akcji Armii Krajowej, dobrze wypełniali swe zadania“ — stwierdził w swym przemówieniu gen. Bór-Komorowski w czasie kolacji żołnierskiej z okazji zjazdu.

Tylko 80-iu z nas wróciło na wolność raz jeszcze na Zachód, by tu na wychodźstwie prowadzić dalej pracę dla takiej Polski, która była natchnieniem naszej spadochronowej decyzji i dla której tylu druhów naszych serdecznych oddało swe życia. Nie z tarczą co prawda wróciliśmy, lecz nie „na tarczy także“ i jak nam na zjeździe mówił nasz prezes „Lewar“ w pracy naszej my „cichociemna“ gromada nie ustaniemy, wierni pamięci naszych zabitych i umęczonych towarzyszy. Pamięci ich poświęcamy książkę „Drogi cichociemnych“ (w opracowaniu) — zbiór reportaży skoczków spadochronowych byłych żołnierzy A.K.

Zjazd „cichociemnych“ wykazał rzadką na emigracji spoistość i jednolitość poglądów. Postanowiliśmy być czynni we wszystkich zdrowych inicjatywach niepodległościowych na wychodźstwie czyniąc zadość naszej żołnierskiej przysiędze.

JERZY LERSKI („JUR“)

Skrzynka pocztowa

PO PRZYJEŹDZIE DO W. BRYTANII

Szanowny Panie Redaktorze,

Kiedyś — przebywając w oddziałach W.P. w Szkocji — pisałem na temat życia obozów. Były to drobne, z humorystycznej strony ujmowane, fragmenty kompanijnych przeżyć, przeżyć „podpatrzonych“, o swoistym charakterze. Uciekałem czasem myślą do okresów Francji, obozów na Węgrzech, do tułaczki ex-cywilnej po Jugosławii. Wszystko to działo się na przełomie 2-3 lat. Później — przesyłałem reportaże z walk komandosów we Włoszech, własne spostrzeżenia, własny sąd i obserwacje.

Obecny okres, to okres nowy i zupełnie inny. Jeśli o służbie frontowej mówi się dzisiaj z odcieniem pewnej zadumy, o ile nawraca się do dni przeszłości jak do czegoś już bez znaczenia — różnicy w sposobie wyrażania myśli własnych, doszukać się nam w tempie, w jakim potoczyły się wypadki. Jesteśmy znów w Anglii (wielu z nas pierwszy raz !), na wszelkie przejawy życia spoglądamy innym okiem, wiele nas dziwi, zastanawia, jeszcze więcej razi, a może nawet odstręcza.

Chcę się zatrzymać nad jednym objawem popularnym dziś w każdym obozie: nad sarkazmem. Sarkamy bowiem znajdując powody i bez powodów. Normalnie — po polsku, gorącokrwiście, szybko, bez namysłu, byle się wyładować.

Prawda — Italia miała wiele. Aż zastanawia, jak wiele, gdy porównamy z tą Anglią, jaką ogląda się dzisiejszymi oczami. Tam mięso, jaja, wino, materiały, wszystko bez ograniczeń i po, stosunkowo, dostępnych cenach. Maszyna do pisania, nowa, walizkowego rozmiaru, po przewalutowaniu kosztowała £14. Radio — mniej więcej do £12. Do tego dodać należy spadek cen, i zważyć, że Italia była wrogiem Aliantów, że od zakończenia działań wojennych upłynęło zaledwie 14 miesięcy, że kraj odbudowuje się własnymi rękami, że państwa sprzymierzone, które do dziś sprawują rządy wojskowe w miastach włoskich, udzielają aktywnej pomocy, by Italia stanęła solidniej gospodarczo. Poza tym nie zapominajmy o działalności UNRRA.

Nie róbmy porównań z dzisiejszą Polską, Jugosławią, ani Niemcami. O tym powtarzają niestrudzenie dzienniki.

Nas zastanawia tamto proste porównanie. Czytam artykuły „Lectora“, Racięskiego, Kiersnowskiego. I oto — „Nie będziemy się kłaniać“ (nr. 29 „Polski Walczącej“). Mocny artykuł. Oględny w słowie, prosty, ale sięgający gdzieś głęboko do serca. Bóg wie, z jakiego tytułu, żołnierz 2. Korpusu zwykł wtrącać, czasem komuś nawet niegrzecznie przerywając: „My... !“ Czy wciąż pamiętamy Monte Cassino? Pamiętać powinniśmy...tak samo, jak o tym, że żołnierz polski nie przyniósł ujmy, przeciwnie swoją krwią wypisał zdania, że nie ustąpi od swoich ideałów — lecz, czy nigdy temu nie będzie końca? Każdemu będziemy powtarzać, zaczynając od: „My...“ !?

Teraz — zastanówmy się. O kłanianiu się nie ma mowy, bo, żeby nawet najciężej nam pracować — praca będzie nagrodzona, co już wyklucza jakąś tam łaskę. Uderzmy się pierwej w piersi i zróbmy rachunek własnego sumienia: czego myśmy dokonali dla Polski, jako Jej przyszłość i czego dokonał każdy z nas dla siebie samego' jeśli wykrzykujemy: „Nie będziemy się kłaniać...“, czy coś w tym sensie...? Znamy musztrę, znamy regulaminy, umiemy umierać za czyjąś wolność tak samo, jak za swoją, Anglii pozostajemy wierni, jak mało który naród.

Jednak — co nam, razem wziąwszy, da w cywilnym życiu, do którego mamy się przygotowywać i co Anglikom przyjdzie z naszych skromnych, wojskowych wiadomości? A zmarnowaliśmy bardzo, bardzo dużo, ani sami nie przypuszczając, a dziś lekkomyślnie sarkamy.

Bo np.: gdyby każdy z nas — przeciętnie biorąc od 15 lipca 1944 roku — uczył się jednego słówka angielskiego dziennie, nie mówiąc o organizowaniu kursów nauki, co nikomu, ani niczemu nie przyniosłoby szkody, a wręcz przeciwnie korzyść — znałby dzisiaj 729 słówek. Co, rzecz naturalna, pozwoliłoby już w bieżącym okresie na sklecenie kilkudziesięciu zdań i jakie takie dogadanie się z Anglikami.

Czy trzeba wgłębiać się w tajniki naszego prywatnego życia? Zbyteczne! Najwięcej wiemy o sobie i najwięcej sami powiedzieć możemy. Nie znamy włoskiego, nie znamy żadnego z innych, obcych języków, nie dało nam nic pobieżne zapoznawanie się z literaturą i sztuką, nie znamy nic. Czy brakło nam czasu? Czy tak bardzo byliśmy zajęci przez tych parę lat?

Ale głośno powtarzamy: „My... !“ i wyrażamy swoje niezadowolenie. Tym głośniej czasem, im większe wokół nas kółko nam podobnych. A kim jesteśmy naprawdę?

Bądźmy szczerzy w stosunku do samych siebie i uderzmy się w piersi, robiąc rachunek własnego sumienia. I skończmy wreszcie z sarkaniem. Zacznijmy zdobywać nowe wartości, które się liczą i tu i wszędzie.

Kelmsley, 20 lipiec 1946

JERZYCZ

POSZUKIWANIE

Sgt. Mikołaj POCZYNIAK, P.W.E. 29, Dachau (Germany), Polish Guard Co 4080, poszukuje brata Bronisława POZNIAK, który był w r. 1939 w służbie w Pol. Marynarce Wojennej na O.R.P. „Błyskawica“. Ostatnia wiadomość przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż na początku 1941 r., że wspomniany znajdował się w Anglii na O.R.P. „Burza“.

Gawędy o W. Brytanii

Anglik o własnym klimacie

Jak już powiedzieliśmy w poprzedniej gawędzie (druk. w poprz. numerze „Polski Walczącej“), Anglik poświęca pogodzie wiele uwagi. Wynika to z głębokiego przekonania, że pogoda ma duże znaczenie w życiu człowieka; przypuszczać wolno, że jest to wynik tajnego związku każdego Anglika ze wsią, z *country*.

Albowiem każdy niemal Anglik — nawet ten, co od paru pokoleń zasiedziały jest w mieście — czuje się nieco przynależny do *country*, do wsi: uważa ją po cichu za trzon, za *backbone* swojej ojczyzny, będzie się wzruszał tkwiąc wśród dymów Manchesteru czy Liverpoolu sielskimi obrazami wsi, roztkliwiał nad fotografiami pól, drzew czy strzechą krytych domków, podawanymi przez prasę popularną. Tym przypuszczalnie tłumaczyć należy owe ogródki na tyłach domów przedmieść londyńskich — ową niewygasłą więzią z *country*. Nawet biedota *East End'u* (najuboższej dzielnicy Londynu) pielęgnuje jakieś chwasty i kwiatki jako hołd składany w ich przygnębiających *slums*, zaułkach miejskich, zielonej, pogodnej *country*.

Zainteresowanie Anglika pogodą dałoby się zatem wyprowadzić częściowo z jego podświadomego może kontaktu z przyrodą; to co zwie on życiem na wolnym powietrzu: *an open air life*, uważane jest za coś szlachetnego; potrzeba odetchnięcia wsią tkwi głęboko w ludności miejskich skupień.

Sądzić wolno, że zaciekawienie problemem pogody ma również korzenie swoje w tym, że Anglicy są jednak narodem morskim, który czuje morze lepiej, niż narody kontynentu. Morze przenika klimat angielski, od wiatrów od morza zależy pogoda — nie ma w Anglii punktu, od którego byłoby dalej do morza niż 150 km. Żeglarze, rybacy, marynarze — wszyscy oni są szczególnie czuli na pogodę, albowiem jest to dla nich nieraz sprawa życia i śmierci.

Tak więc pogoda jest zagadnieniem istotnym w Anglii: dobrą pogodę chwali się entuzjastycznie, na złą psioczy i wymyśla. A jednak chociaż Anglik uznaje, że wilgotny klimat Wysp Brytyjskich nie jest zbyt dobry przez cały okrągły rok, chociaż zdaje sobie sprawę, że reumatyzm krzewi się bujnie w tym klimacie (ale za to gruźlicy jest o wiele mniej niż w innych krajach; i tak np. Włochy mają więcej gruźlików aniżeli W. Brytania; ta ostatnia natomiast może się pochlubić ponad milionem reumatyków i to takich, którzy są właściwie kalekami — reumatyzm w łagodnej formie i wszelkie pochodne reumatyzmu są niebywale rozpowszechnione: jest to niemal narodowa choroba), to jednak będzie upierał się nieraz z zapałem godnym lepszej sprawy, że klimat Anglii jest najlepszy na świecie.

Upór ten wynika często z głęboko zakorzenionego w tej rasie przekonania, że wszystko co angielskie jest najlepsze (*British is best*). Ten cichy szowinizm czy raczej narodowa duma rozciąga się na wszelakie dziedziny: nie tylko demokracja angielska — jak się można dowiedzieć z prasy popularnej — jest najlepsza, nie tylko wyroby angielskie są najlepsze w świecie, samoloty i okręty, auta i materiały na ubrania, ale również prasa, budownictwo, medycyna ba, nawet kuchnia i moda damska.

Prasa popularna jest istną kopalnią tego rodzaju rewelacji. Wszystko: od ogrodów angielskich (co jest bodaj słuszne) poprzez dziewczęta — oczywiście najładniejsze w świecie — aż po pomnik Erosa na Piccadilly Circus w Londynie (obecnie wracający na swoje dawne miejsce po latach ukrycia w dobie wojny) jest najlepsze. Pisma popularne bronią rycersko pogody angielskiej i klimatu; ale nie tylko czyni to prasa brukowa. Wybitni pisarze angielscy jak Hilary Belloc, druh Chestertona, w książce swojej „*Places*“ — zbiór szkiców z podróży — opowie się stanowczo za klimatem angielskim jako najłagodniejszym dla natury człowieka, jako najlepszym na świecie.

Kto sądzi klimat angielski po siąpawicy szkockiej albo mgle Londynu — przy czym są rozmaite typy tej mgły: od białej aż po czarną (*black fog*) i t.zw. grochówkę (*pea soup*) — ten istotnie jest dla klimatu tego kraju niesprawiedliwy. Jeżeli jednak uda się dzień pogodny — szczególnie w lecie albo jesieni — to istotnie warto, jak powiedział Kipling przy innej sposobności, „tłuc się dla niego 40 opętanych mil po złej drodze“, co w tym kraju nikomu bodaj nie grozi, albowiem drogi, nawet wiejskie, są doskonałe. Jest w niektórych pogodnych dniach angielskiego lata, szczególnie w Somerset czy Devon czy Kornwalii, w Okręgu Jezior (*Lake District*), a nawet, o dziwo, w Szkocji w okolicach Braemar, czy dalej na północ — jakaś osobliwa słodycz i spokój, jest jakiś nastrój odpoczynku, którego bodaj nie można zaznać w innym bardziej, by tak rzec, podniecającym klimacie. Jest w tych dniach jakaś sytość, pogoda i światło bardzo osobliwe, stonowane jak cały kraj— obraz angielski, kładący się kojąco na wszystkich naszych zmysłach.

O tych to dniach myślą Anglicy broniąc swojej pogody: albowiem taki doskonały dzień lata, *a perfect summer day*, jest w *country* angielskiej czymś pięknym. Broniąc swojej pogody, myślą również Anglicy o tym ożywczym wietrze, który omiata wybrzeża Anglii, o wiośnie, która przychodzi łagodniej, niż na kontynencie, o dłuższej nieraz jesieni; spotykamy w Anglii dni przejrzyste i ciepłe jeszcze w październiku a nawet w listopadzie — oczywiście, jeżeli październik się uda.

Cudzoziemiec jednak ma inne pojęcie o angielskim klimacie; uważa ten klimat za wilgotny, ziąb jesieni i zimy za szczególnie przenikliwy, co jest w dużej mierze wynikiem nieprzygotowania domów angielskich na tego rodzaju historie (pojedyncze okna, kominki, „przewiewne“ progi, przeciągi, słaba budowa domków miejskich). Przybysz z kotynentu musi się długo w Anglii aklimatyzować, przystosowywać i przeważnie zapada na rozmaite katary, bronchity i td., zanim się do klimatu przyzwyczai. Nie może ani rusz oswoić się z zimnymi łazienkami, z których bucha para gorącej wody — te łazienki są wylęgarniami katarów i zaziębień przybyszów z kontynentu.

Wydaje się, że spora część przybyszów z Europy nie potrafi się nigdy do klimatu angielskiego nałamać — natomiast pewna stawka ludzi nie tylko klimat angielski znosi, ale nawet dobrze się w nim czuje, co więcej czuje się zdrowiej, mniej zapada na rozmaite przypadłości, aniżeli na kontynencie. Nie ma w tej mierze żadnej reguły: trzeba się do tego klimatu przyzwyczaić i to głównie przez zahartowanie się i oswojenie z zimnymi wnętrzami, przez odpowiednie ubieranie się (wełny wszelkiego rodzaju; noszenie sweatra opłaca się w Anglii niemal zawsze, poza kanikułą czyli *dog-days* upalnego lata), a także przez odpowiednie odżywianie się.

Klimat Anglii wymaga — jak twierdzą niektórzy — odżywiania się mięsem; inni powiadają, że najlepszy jest system, który tworzy równowagę, *balance*, między dietą mięsną a jarzynami i wszelką zieleniną; są wreszcie tacy, którzy uważają, że w klimacie Wysp Brytyjskich konieczne jest szukanie podniety w kieliszku. Wydaje się, że ten ostatni punkt tai w sobie jakieś ziarno prawdy: Anglicy, podobnie jak Skandynawowie i Holendrzy (Holandia ma klimat najbardziej może do Anglii zbliżony) piją sporo i chętnie i mają dobre głowy: przypuszczalnie w tym typie klimatu alkohol traci wiele ze swojej siły.

Każdy niemal przybysz z kontynentu skarży się w Anglii — i to niemal stale — na senność, na osłabienie tętna życiowego, na pewne przymglenie wrażliwości; w Anglii śpi się więcej aniżeli na kontynencie — o 10-ej wiecz. życie w Londynie prawie nie istnieje a zaczyna się późno, czego dowodem biura angielskie; kontrast między Londynem a Paryżem jest uderzający. Anglicy kochają sen. Nie gardzą nim przy żadnej okazji, wiedząc dobrze jak jest on potrzebny. Jest to częściowo rekompensata za odżywianie, albowiem w zestawieniu z narodami kontynentu Anglicy jedzą o wiele mniej, czasem zdumiewająco mało (i to zarówno klasy pracujące, jak t.zw. wyższe).

Ta senność, to zluźnienie tempa są zjawiskami, z którymi człowiekowi z Kontynentu bardzo trudno się pogodzić. Sprawia to, że od czasu do czasu przybysz z Europy czuje przemożną potrzebę wydarcia się z klimatu angielskiego i skoczenia w klimat bardziej pobudzający; brak jest przybyszowi na te Wyspy nie tylko słońca, ale śniegu, mrozu, przedwiośnia górskiego. Wprawdzie są ludzie, którzy potrafią wyszukać jakieś poletka śnieżne w Szkocji, na północ od Inverness, gdzieś na Ben Nevis czy w Lake District czy na Snowdon w płn. Walii, ale na ogół zima angielska nie jest ostra i ślimaczy się w miastach nieznośnie.

To wszystko sprawia, że mieszkaniec Kontynentu narzeka stale na klimat angielski, bo jest to klimat nie tylko inny, ale klimat o b c y — wywołuje w nim reakcje senności, osłabienia, znużenia, które budzą w bardziej nerwowym, niespokojnym człowieku z Europy zniecierpliwienie, głuchą pasję. Na pocieszenie możemy powiedzieć, że sami Anglicy, chociaż chwalą swój klimat, uciekają, jak tylko mogą do Francji czy Włoch; nie darmo jest to naród z żyłką podróżniczą. Złośliwi powiadają, że „Anglik dlatego tak łatwo opuszcza swój kraj albowiem klimat, mieszkania i kuchnia są niemal wszędzie lepsze“. Jest to tylko połowa prawdy, albowiem nie wszyscy Anglicy wyjeżdżają zagranicę a prawie wszyscy ci Anglicy co wyjechali z Kraju, chcieliby jednak wrócić kiedyś do starej ojczyzny.

Wydaje się jednak, że ten kto zwalczył przeciwności angielskiego klimatu i nałamał się do niego, przygotowany jest dobrze na wiele przykrości.

JAWNUTA

POSZUKIWANIA

Czesław STANILEWICZ, podchr. 1.P.A.L.'u w Wilnie, ur. 23.X.1917 r., wieś Krasówka, gmina Dubów, pow. Biała Podlaska. Imię matki Marianna (1886), imię ojca Mikołaj (1879). Poszukuje Stanisławy KRUSZYŃSKIEJ zam. Lublin 1-go Maja 14.m.3. Ostatnia wiadomość z obozu internowanych pod Moskwą.

F. BUREK, 1440, Langlois Avenue. Windsor, Ontario, Canada poszukuje kuzyna ppułk. Tadeusza WOLEŃSKIEGO i wszystkich wiedzących o jego miejscu pobytu prosi o przekazanie wiadomości pod powyższym adresem.

Poszukiwany Bogusław WĘŻYK, ur. 30 listopada 1920, zamieszkały przed wojną w miejscowości Baranowicze, w latach 1938–39 uczeń Szkoły Morskiej w Gdyni, w 1940 wywieziony do Rosji. Wszelkie wiadomości prosimy kierować pod adresem: Mrs. Walter Pliska, 38, Randall Street, Adams, Mass., U.S.A.

Tadeusz CZARNOCKI, 2 Commando Bn, 3 Duncombe Park, Helmsley, Yorkshire poszukuje Jerzego OSTROWSKIEGO, syna Wawrzyńca i Kazimiery, ostatnio zam. Warszawa-Powiśle (za mostem Kierbedzia).

Pisma obozowe proszone są o przedruk.

St. Strz. Władysław ZIĘBA, Penley Hall Camp, Near Ellesmere, Salop, Convalescent Depot, poszukuje brata swego Bolesława WYROŚLAK, ok. lat 50, syn Leona i Heleny z Ziębów, który wyjechał z Polski w r. 1916-17 a obecnie prawdopodobnie przebywa na terenie W. Brytanii.

NA PACZCE OD MYDŁA...

Obywatelki i Obywatele! Zgniła emigracjo i szczera demokracjo! Przyjaciele i wrogowie ludu! Faszyści i czerwonoskórcy!

W centrum Londynu, w sercu Hyde Parku, tam gdzie stoi moja paczka od mydła czyli tradycyjna trybuna wolnego słowa, zwana od wieków przez tubylców „soap box" — wołam wielkim głosem: SKANDAL! Resztę sobie dośpiewacie w waszych szczerych, demokratycznych sercach. Wiadomo, że idzie o Kraków. O wynik głosowania w tym zacofanym grodzie. Można powiedzieć: „Nie od razu Kraków zbuntowano". *Szło to powoli — aż doszło do skandalu.*

Jak można tak nietaktownie popsuć jednomyślne „Tak" całego narodu? Są tacy, którzy nie wierzą, że Kraków splamił się w istocie ową okrutną hańbą anti-reżimową, są tacy, którzy przypuszczają, że to dla pewnych „wyższych celów" potrzebne było rządowi takie „zblamowanie" podwawelskiego grodu.

Może tak, może nie. Faszyści niech się gubią w plotkach. My demokraci wiemy na pewno, że Kraków zamiast „Tak" powiedział „Nie" — i kropka.

Dlatego słusznie teraz w Jagiellońskim grodzie odbywają się wiece, na których szlachetni obywatele Cyrankiewicze i Drobnerzy sprawnie organizują oburzenie społeczeństwa krakowskiego na społeczeństwo krakowskie. Wojsko też — jak przystało na prawdziwą demokrację — urządza wiece na Plantach pod hasłem: „Ukarać Kraków!"

Naszym obowiązkiem, obowiązkiem obywatelskim zebranych tu w Hyde Parku — na dziś — jest: rozpatrzeć projekty ukarania Krakowa według znanych słowiańskich możliwości zgodnie z zasadami słuszności i sprawiedliwości tak bujnie rozwijającej się na naszej ziemi pod zbawczym ciepłem „słońca narodów" — i jego ultra-bierutowych promieni.

Wzywam was do zbiorowego oburzenia, które niech się wyrazi w odśpiewaniu krakowiaczka na nutę „Patrol kozacki":

„Z tamtej strony Wisły wrona się kąpała
Trzy razy: „nie, nie, nie" Moskwie
powiedziała".

Chwilą milczenia uczcijmy stratę kilkuset tysięcy kartek wyborczych z antisłowiańskim napisem: „Nie".

A teraz do rzeczy obywatelki i obywatele: Kraków, siedlisko Własowców, Andersowców, zwolenników Lippmana, czytelników pamiętników Trockiego — winno się znaleźć za „linią Curzona" i powrócić do macierzy radzieckiej, która wspaniałomyślnie odda je nowoutworzonej republice huculskiej. To jest jedyna rada, żeby przyszłe wybory wypadły tak — jak wypada.

Nie jestem za zrównaniem Krakowa z ziemią i zaoraniem tego plugawego miejsca. W tym względzie obywatele Cyrankiewicz i Drobner idą może za daleko, ale są na dobrej drodze.

Skoro jesteśmy dziś świadkami tryumfalnego „powrotu do kraju" takich instytucji lwowskich, jak Ossolineum, Politechnika Lwowska (w 44 wagonach) i Panorama Racławicka, (które to skarby po wielu latach tułaczki na obcej Ziemi Czerwieńskiej wracają nareszcie do Wałbrzycha, Jeleniej Góry i Gliwic), dlaczego nie można by urządzić za parę miesięcy takiego samego „powrotu do kraju" Sukiennic, Wawelu i Bramy Floriańskiej.

Sukiennice — do Lignicy, Brama Floriańska do Ciechocinka, Wawel... do Bierutowic (Dolny Śląsk).

Przesunięcie Polski na Zachód stwarza wielkie możliwości. Epoka się zmieniła. Czy mógł sobie ktoś wyobrazić za sanacyjnych, zacofanych rządów ukaranie Politechniki Lwowskiej i wysyłkę jej w 44 wagonach do innego miasteczka? Postęp, rozmach, wielkie kanały, Dnieprostroje, modernizacja!

Zebrani dzisiaj w londyńskim Hyde Parku trzęsąc się z oburzenia, posyłamy stąd do dyspozycji nieocenionego gen. Radkiewicza następujące projekty w sprawie ukarania Krakowa:

1) Ludność „repatriować" do Prus Wschodnich do tej części, w której nikt nie chce mieszkać ze względu na sprawnie zorganizowane wizyty Własowców i dezerterów, 2) Ułatwić, jak w latach 1939–1941 zbiorowe wycieczki „uchodźców" do Kałymy, Kazakstanu i kraju Uzbeków, 3) Dokonać przesiedlenia następujących obiektów krakowskich:

Kopiec Kościuszki — *wywieźć na kilku ciężarówkach i przesypać w okolicy Psiego Pola, przy czym zmienić nazwę na Kopiec Wiesława ku czci tow. Gomółki (w razie katastrofy narodowej ob. Wiesław mógłby spocząć na zawsze pod tym kopcem na Psim Polu).*

Smoczą Jamę — *jako skarb słowiańszczyzny ewakuować na Kreml. Zmiana nazwy niekonieczna.*

Wisłę — *modną techniką przepompować w koryto Nissy i w ten sposób zmusić buntowników Krakowa do głosowania w przyszłości za Nissą.*

Planty — *zaorać i stworzyć ogródki działkowe dla ofiar faszystowskich rozruchów, które niewątpliwie prędzej czy później będą miały miejsce według projektu Bezpieki z muzyką dobrze znaną (patrz scenariusz: Kielce, po czym nastąpi telegraficzny protest z Waszyngtonu samego Ksawcia Pruszyńskiego, który będzie się „wstydził straszliwych wieści jako pisarz polski i żołnierz polskich walk").*

Linię „A-B" — *przemianować na linię Arka Bożki na pamiątkę nieocenionych usług, jakie oddał reżimowi w przeddzień referendum.*

Uniwersytet Jagielloński — *przezwać Piastowskim i wysłać w 44 wagonach do...* Borejszowa. *Przy okazji projektujemy zmianę nazwy znanej miejscowości na ziemiach odzyskanych* Świnioujście — *na* Borejszowo *od imienia zasłużonego pułkownika, organizatora, inspiratora, agitatora, b. „dyrektora" Ossolineum (w 1939–40) towarzysza Borejszy.*

Wniosek dodatkowy: piosenkę „Pod Krakowem czarna rola" *przemienić na* „Pod Krakowem czerwona Rola".

Na zakończenie dzisiejszego zebrania odśpiewajmy chórem popularną piosenkę żołnierzyków ob. Roli — w której to pieśni tętni beztroskość oraz żołnierska krzepkość — i nie ma cienia zgniłej polityki! Śpiewamy:

„Czołgi w Berlinie zdobywała wiara
Rękami twardymi od pracy,
Panowie w Londynie kurzyli cygara
Nie chcieli słowiańskiej współpracy!"

Do usłyszenia za tydzień na tej samej paczce, na tym samym miejscu o tej samej porze.

Wasz

OBYWATEL ŻĄDEŁKO

PORADNIK ŻOŁNIERSKI

Płut. Antoni F. i por. Julian N—wski

Złoty Krzyż Zasługi nosi się po Krzyżu Walecznych, a przed Medalem Niepodległości. Ogółem mamy 29 polskich odznaczeń, które nosi się w następującej kolejności: 1. Order „Orła Białego". 2. Order Wojenny „Virtuti Militari" od 1-ej do 5-ej klasy. 3. Order „Odrodzenia Polski" 1-ej, 2-ej i 3-ej klasy. 4. Krzyż Niepodległości (z Mieczami lub bez). 5. Order „Odrodzenia Polski" 4-ej i 5-ej klasy. 6. Krzyż Walecznych za Wojnę 1918–1921. 7. Krzyż Walecznych za Wojnę 1939–1945. 8. Krzyż Zasługi za Dzielność. 9. Złoty Krzyż Zasługi z Mieczami. 10. Złoty Krzyż Zasługi. 11. Medal Niepodległości. 12. Srebrny Krzyż Zasługi z Mieczami. 13. Srebrny Krzyż Zasługi. 14. Bronzowy Krzyż Zasługi z Mieczami. 15. Medal Wojska. 16. Medal Morski. 17. Medal Lotniczy. 18. Bronzowy Krzyż Zasługi. 19. Krzyż Zasługi Wojsk Litwy Środkowej. 20. Krzyż na Śląskiej Wstędze Waleczności i Zasługi. 21. Wawrzyn Akademicki. 22. Medal za Ratowanie Ginących 23. Medal Pamiątkowy za Wojnę 1918–1921. 24. Medal 10-lecia Odzyskania Niepodległości. 25. Medal 3-go Maja. 26. Złoty Medal za Długoletnią Służbę. 27. Srebrny Medal za Długoletnią Służbę. 28. Bronzowy Medal za Długoletnią Służbę. 29. Odznaka Pamiątkowa za „Monte Cassino".

Odznaczenia bryt. nosi się po odznaczeniach polskich wg. starszeństwa i kolejności nadania. Dopiero po odznaczeniach bryt. nosi się ordery innych państw sprzymierzonych również według starszeństwa.

Inwalida Antoni B.

List Pana przekażę Szefostwu Służby Opieki nad Żołnierzem Sztabu Głównego (114, Ashley Gardens, S.W.1) po nadesłaniu adresu i nazwiska. Względnie proszę się zwrócić bezpośrednio do Szefa Sł. Opieki n/Żoł. Szt. Gł.

SPIS RZECZY

WYDAJE „FIGHTING POLAND" TRUST

Adres Redakcji (Editorial Offices): 52 Halton House, 20-23 Holborn, London, E.C.1. Tel. CHAncery 7747.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej — 13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: (z przesyłką pocztową) w Wielkiej Brytanii miesięcznie 1sh. 6d. kwartalnie 4 sh. 6d., w U.S.A. i Kanadzie miesięcznie 35 c., kwartalnie $1.00 c.

Należność prosimy wpłacać z góry przekazem pocztowym lub czekiem na „FIGHTING POLAND TRUST" pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam — £1 ($5). Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia na pierwszej stronie w miarę wolnego miejsca o 100% drożej. Ogłoszenia drobne 6d. za słowo.

Poszukiwania osób rodzin wojskowych bezpłatnie w miarę wolnego miejsca.

Adres Administracji (Business Offices): 69, Earl's Court Square, London, S.W.5. Tel.: FLAxman 8600

Printed for „Polska Walcząca" by Williams Lea & Co., Ltd., Clifton House Worship Street, London, E.C.2. Registered at the G.P.O. as a Newspaper